

*Polski ambasador w Iraku, gen. broni Edward Pietrzyk, został ciężko ranny w zamachu na ulicach Bagdadu. Kolumnę pojazdów, która poruszała się od miejsca jego zamieszkania do budynku ambasady, zaatakowano przy pomocy podłożonych przy drodze ładunków wybuchowych. Kierowca samochodu ambasadora plut. Bartosz Orzechowski z Biura Ochrony Rządu zginął, a czterech innych funkcjonariuszy zostało rannych.*

# Zamach na ambasadora



Maciej Zimny



3 października 2007 roku około godziny 9.00 kolumna składająca się z pojazdu ambasadora i dwóch samochodów ochrony wyruszyła w codzienną trasę do polskiej ambasady w Bagdadzie. Poruszali się szybko. Chociaż samą drogę pokonywali już wielokrotnie, to za każdym razem trasa biegła innymi ulicami. Pojazdy były opancerzone, ochrona uzbrojona w długą broń, wszyscy świadomi czyhających na zewnątrz zagrożeń. Po chwili od wjechania do Karrady – cieszącej się złą sławą, za sprawą często przeprowadzonych zamachów – dzielnicy Bagdadu, znaleźli się na ulicy prowadzącej bezpośrednio do celu. Byli już oddaleni od ambasady zaledwie o kilkaset metrów, gdy na skrzyżowaniu z boczną uliczką obok pojazdów eksplodowały ładunki materiału wybuchowego. Trzy opancerzone pojazdy stanęły w ogniu i natychmiast znalazły się pod silnym ostrzałem z broni maszynowej. Ochrona odpowiadziała ogniem i przez radio wysłała wiadomość, co się stało. Wkrótce wszystko ucichło, a blisko palących się samochodowych wraków

wylądował mały śmigłowiec amerykańskiej firmy ochrony „Blackwater”, którym ewakuowano rannych: ambasadora Pietrzyka i kierowcę plut. Orzechowskiego. Niestety, ten ostatni tuż po przybyciu do szpitala zmarł. Wkrótce okazało się również, że pozornie lżej ranny ambasador ma poparzone około 20 proc. powierzchni ciała. W zasadzce rannych zostało także czterech innych funkcjonariuszy BOR-u.

Wiadomość poszła w świat, stając się w Polsce najważniejszą, ale czy naprawdę mogła być niespodzianką? Raczej nie, po prostu stało się coś, czego należało się spodziewać, ale wielu sądziło, że to się nie zdarzy. Teraz, z pewnej perspektywy można powiedzieć, że zamach został spowodowany przez przyczyny, które dają się podzielić na dwie główne kategorie: polityczne i pozostałe. Ta pierwsza to przede wszystkim bezpośredni skutek obecności polskich wojsk w Iraku oraz w pewnym sensie kampanii wyborczej w Polsce. Drugie mają aspekt czysto wojskowy i związane są z zagadnieniami ochrony i bezpie-



czeństwa osób. I tu właśnie chciałbym skupić się na kilku istotnych czynnikach.

Przede wszystkim na samym początku trzeba zauważyć wystąpienie podstawowej sprzeczności. Otóż można odnieść wrażenie, że ochrona polskich przedstawicieli w Iraku (w czasie sprzed zamachu; mam nadzieję, że ulegnie to wkrótce zmianie), mniej zależy od spodziewanych zagrożeń, jak też od ich statusu czy funkcji, a bardziej od możliwości, chęci automatycznego stosowania procedur i słabej woli zmieniania dotychczasowych zasad. Można to udowodnić następująco. Z jednej strony jesteśmy postrzegani jako jeden z najbliższych sojuszników USA. Poważnie zaangażowani militarnie w Iraku od 2003 roku – mamy tam rozmieszczone swoje wojska, rozlokowane w stacjonarnych bazach, a te chronione są na wiele sposobów. Od zabezpieczeń natury inżynierskiej, poprzez ochronę fizyczną i techniczną, aż po zabezpieczenie kontrwywiadowcze. Wprawdzie odnotowano wielokrotne próby atakowania znajdujących się tam żołnierzy m.in. za sprawą pojazdów kierowanych przez zamachowców-samobójców lub ostrzeliwując je z moździerzy, ale jak dotąd nie wyrządziło to większych szkód (oby tak dalej!). Zadania bojowe poza bazami wykonywane są przy zastosowaniu wszystkich dostępnych środków wzmocnienia, zabezpieczenia i wsparcia, jakimi dysponujemy, koordynowane na wszelkie możliwe sposoby,

a pomimo tego byli wśród polskich żołnierzy ranni i zabici.

Jakby przeciwwagę tego stanu rzeczy stanowi bezpieczeństwo przebywających w Iraku osób, które można (niezbyt elegancko) określić jako „niewojskowe”. Taka sytuacja wystąpiła w konkretnym przypadku ambasadora Pietrzyka, niedawnego przecież dowódcy Wojsk Lądowych. Wielokrotnie był uprzednio w Iraku, w mundurze trzygwiazdkowego generała, jako jeden z najważniejszych dowódców polskich sił zbrojnych. Wtedy wszystko było podporządkowane jego bezpieczeństwu (miał ochronę osobistą nawet na terenie wiedzianych baz), a jego obecność na zewnątrz ograniczona jedynie do niezbędnego minimum.

Jednak od kwietnia br. wszystko to uległo zmianie, tym samym powstał wspomniany paradoks. Zmienił się status gen. Pietrzyka i nastąpiła całkowita metamorfoza spraw związanych z jego bezpieczeństwem. Z jednej strony, wraz z zamianą munduru na garnitur, stał się oficjalnym przedstawicielem polskiego rządu i reprezentantem całego państwa, jego formalna pozycja znacząco wzrosła, bowiem został w Iraku jednym z najważniejszych międzynarodowych dyplomatów i jednocześnie bardzo pożądanym celem dla zamachowców, co od początku można było przyjąć za pewnik. A z drugiej strony pod względem zapewnienia mu osobistego bezpieczeństwa, po-



traktowano go jak jakiegoś przedstawiciela handlowego przeciętnej firmy, a nie osobę tej rangi i pozycji, którą miał.

Polscy żołnierze są uważani przez Irakijczyków (niezależnie od tego, czy jest ich dużo czy mało) za wroga i okupantów, a tymczasem polski ambasador mieszkał „na mieście”, jak w normalnym, „cywilizowanym” kraju. Ambasada zajmowała budynek znajdujący się w jednej z najbardziej niebezpiecznych dzielnic Bagdadu, podczas gdy inni dyplomaci (pomni np. zamachu na kwatery ONZ 19 sierpnia 2003 roku) urzędowali i mieszkali w tzw. Zielonej Strefie – najbardziej chronionym i zabezpieczonym miejscu nie tylko w Bagdadzie, ale w ogóle w całym Iraku. Przedtem nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, by generał Pietrzyk – jako dowódca Wojsk Lądowych – nawet w czasie krótkich wizyt – mieszkał poza bazą. Gdyby ktoś zasugerował, by tak postępować np. z polskimi dowódcami wielonarodowej dywizji czy brygady, to powszechnie uznano by to za pomysł bezsensowny i niedorzeczny, a sama koncepcja codziennych podróży do i z miejsca pracy za idiotyzm i niepotrzebne narażanie ich na terrorystyczne zamachy.

Tymczasem to kuriozalne rozwiązanie funkcjonowało od kwietnia do października (kiedy generał stał się ambasadorem) i zostało uznane za całkiem dobre. Skoro nic się nie dzieje, to co stoi na przeszkodzie, by mieszkał poza ambasadą i codziennie pokonywał ulice Bagdadu? Tak, jakby na ulicach miasta prawie nikt codziennie nie ginął, nie wybuchały podkładane bomby i kierowane przez zamachowców, samobójców pojazdy. Trzy opancerzone pojazdy i kilkusobowa ochrona funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu, mimo najszczerzych chęci i ich gotowości do największego poświęcenia oraz bohaterstwa wykazanego w godzinie próby nie mogła być skuteczną barierą, oddzielającą ambasadora od codziennych zagrożeń, co pokazały wspomniane już wydarzenia 3 października 2007 roku. Warto w tym miejscu nadmienić, iż za zasadnicze decyzje w sprawach bezpieczeństwa polskich placówek dyplomatycznych są odpowiedzialne komórki funkcjonujące w strukturach MSZ (sekr. ds. bezpieczeństwa), a nie BOR.

Teraz trochę o zasadach ochrony osobistej w szczególnych, irackich warunkach. Dlaczego nikt nie zastanawia się (mam nadzieję, że tak nie jest, choć czasami w to wątpię), w jakim głównym celu Amerykanie powierzają (za ogromne przecież pieniądze) ochronę swoich przedstawicieli, licznym zastępom pracowników firm cywilnych (dominuje Blackwater), a nie np. agentów rządowych (nie noszą oni mundurów nie wpływają też na statystyczną liczbę wojsk USA w Iraku). Z pewnością oprócz czynników politycznych (nie





noszą mundurów, nie wpływają na liczbę wojsk w Iraku itp.), nie chodzi tu o względy ekonomiczne, ponieważ wynagrodzenie Brackwatersów wielokrotnie przewyższa płace w amerykańskim odpowiedniku BOR-u. Otóż sądzę, że oni po prostu wiedzą, że w tak niebezpiecznym środowisku jakie istnieje w Iraku, tym bardzo trudnym zadaniom, mającym niejednokrotnie charakter czysto wojskowy, mogą podołać jedynie doświadczeni i doskonale wyszkoleni żołnierze (naszym zdaniem jest to teza bardzo dyskusyjna – od red.). Skoro z różnych względów nie można do tego wykorzystać wojskowych sił specjalnych, trzeba zatrudnić firmy cywilne, które zapewniają odpowiedni personel, bo opierają się właśnie na byłych żołnierzach sił specjalnych, a ci mają odpowiednią wiedzę, umiejętności i doświadczenie bojowe w różnych warunkach, by podołać trudnym irackim wyzwaniom.

Agenci Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego z Departamentu Stanu USA są doskonale wyszkoleni, ale głównie do zapewnienia ochrony osobistej w przypadku występowania standardowych zagrożeń, bo z takimi stykają się codziennie. Chroniąc różne ważne osoby (tzw. VIP-y – Very Important Persons) wykonują swoje obowiązki w zupełnie innych warunkach środowiskowych i odmiennych zagrożeniach. W Iraku środowisko jest zdecydowanie wyjątkowe, trwa konflikt wg typowych asymetrycznych zasad, chwilami mający charakter wojny domowej i np. wystąpienia publiczne praktycznie nie istnieją, szyki ochronne piesze są stosowane bardzo rzadko i ograniczane tylko do niezbędnego minimum (np. w czasie wsiadania do pojazdów, chociaż z reguły odbywa się to poza zasięgiem ewentualnych zamachowców). Za to np. zamachy bombowe zdarzają się o wiele częściej i są o wiele trudniejsze lub prawie niemożliwe do wcześniejszego wykrycia, wielu miejsc czy tras przejazdu nie można uprzednio sprawdzić i zabezpieczyć. To dlatego niektóre „normalne” procedury (o ile w ogóle istnieją) nie mają tu zastosowania. Z podobnych powodów główne zagrożenia pochodzą z kierunków, którym zawsze trudno przeciwdziałać, np. ze strony zamachowców-samobójców, bo dla zdeterminowanej osoby, której przyświeca jedynie pragnienie dokonania zamachu (niezależnie od tego, czy postuguje się bombą czy np. nożem) i nie dba o to, co się z nim stanie później, żadna ochrona osobista nie będzie skuteczną zaporą.

Naturalne więc jest, że w zależności od środowiska, charakteru zagrożeń i ogólnego poziomu bezpieczeństwa ochrona musi skupiać swoją uwagę na zupełnie innych odległościach w stosunku do ochranianej osoby, bo tam spodziewa się istnienia głównych źródeł zagrożeń. Tym sa-

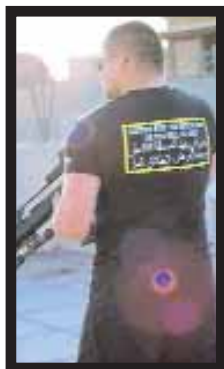


mym znacznie zwiększają się promienie poszczególnych pierścieni ochronnych, które trzeba kontrolować. Często zmieniają się one w zależności od sytuacji, wzajemnie przenikają lub nawet nie wszystkie występują naraz. Ogólnie można powiedzieć, że w takich warunkach (jak w Iraku), jest duże prawdopodobieństwo, że zagrożenie nadejdzie z większych odległości. W „normalnej”, codziennej pracy jest inaczej, bo np. jednym z większych zagrożeń jest tłum, dlatego największa uwaga jest poświęcana najbliższemu otoczeniu VIP-a. Tak kształtują się zawodowe nawyki rządowych funkcjonariuszy ochrony, na takich odległościach skupiają swoją uwagę. Agenci ochrony na co dzień postępują przede wszystkim wyposażeniem dostosowanym do krótkich starć na bardzo bliskich odległościach i używają go tylko w sytuacjach, gdy nie można tego uniknąć. Można powiedzieć, że w zasadzie skupiają się na eliminowaniu zagrożenia i jednoczesnej szybkiej ewakuacji. Tymczasem działania w środowiskach na podobieństwo irackiego wymagają, by pierścienie ochrony były o wiele większe, bo tam znajdują się zamachowcy samobójcy, podkładane są bomby, przygotowywane zasadzki ogniowe itp. Zajmujący się ochroną muszą posiadać więc w zasadzie wojskowe wyposażenie i umiejętności właściwe dla sił specjalnych, bo często zostają zmuszeni, by



podjąć narzuconą im walkę i aby wyjść z niej zwycięsko, muszą być mówiąc kolokwialnie „o niebo lepsi” od napastników. To dlatego byli żołnierze tych formacji, doświadczeni w działaniach w ekstremalnych warunkach (pomimo tego, że zawsze bezpośrednią walkę traktują jako ostateczność), są do niej najlepiej przygotowywani – właśnie za sprawą sprzętu, umiejętności i doświadczenia.

Taki jest również charakter naszego rodzimego BOR-u. Może nawet bardziej niż się powszechnie uważa, bowiem jego funkcjonariusze byli szkoleni przez instruktorów amerykańskich i procedury oparte są na amerykańskich wzorcach. Absolutnie nie jest moim zamiarem deprecjonowanie funkcjonariuszy BOR-u. Są profesjonalnie wyszkoloną i wyposażoną służbą. Należą się im słowa najwyższego uznania, a szczególnie tym, którzy zachowali się bardziej niż wzorowo w czasie zamachu na ambasadora Pietrzyka – to im głównie zawdzięcza życie. Zrobili wszystko, a nawet o wiele więcej, niż powinni, płacąc za to śmiercią jednego z nich i ranami u pozostałych. Rozważaniami tymi chcę tylko zwrócić uwagę, że nie można stawiać znaku równości pomiędzy ochroną w warunkach pokojowych i wojennych (czytaj krajowych i irackich), w myśl zasady – BOR jest do ochrony – więc wszędzie się nada i wymagać potem od niego cudów, gdy jednocześnie akceptuje się (nieświadomie) okoliczności sprzyjające zamachom. Poza pojazdami, liczbą BOR-owców i ich wyposażeniem i uzbrojeniem w długą broń, zasady mieszkania i pracy ambasadora były takie same jak np. w zachodnich krajach demokratycznych. Pojazdy prawdopodobnie nie posiadały również urządzeń zakłócających sygnały wysyłane do detonatorów



bomb. Może więc zamiast wydawać pieniądze na tworzenie rozlicznych specjalnych komponentów, gdzie się tylko da (nawet na kolei i w służbie celnej), należy stworzyć w ramach BOR-u osobną strukturę ochraniającą skutecznie polskich dyplomatów i innych oficjalnych przedstawicieli za granicami Polski i ze szczególnym uwzględnieniem miejsc niebezpiecznych. Skoro jednak od 2001 roku nawet nie zmieniono przepisów, by ubezpieczać „z urzędu” wykonujących zadania za granicą funkcjonariuszy BOR (muszą to robić sami, bo „przepisy nie pozwalają”), to chyba tak się nie stanie (choć nie trzeba być prorokiem, by wiedzieć, że po Iraku wkrótce z pewnością „przyjdzie” Afganistan). Jestem pesymistą, dlatego że od wystąpienia nowych potrzeb i zagrożeń upłynęło już więcej czasu, niż trwała cała II wojna światowa, a skoro nawet w tak drobnej kwestii nie zmieniono prawa ....

Wracając do zamachu. Wzajemne usytuowanie rezydencji i budynku ambasady skazywało generała na wielokrotne pokonywanie jednych z najbardziej niebezpiecznych ulic jednego z najbardziej niebezpiecznych – nie tylko dla obcokrajowców – miast świata. Nie wiem, czy jakkolwiek inny kraj, tak głęboko zaangażowany militarnie w Iraku nakazałby swojemu ambasadorowi przejeżdżać kilkakrotnie w ciągu dnia przez miejsca, w których nieustannie toczy się krwawy wewnętrzny konflikt i codziennie atakuje się obce wojska. Dlatego z dużą dozą prawdopodobieństwa można było oczekiwać, że zamach na pewno jest planowany, bo osoby je organizujące nie przepuszczą okazji, by spektakularnie zabić ambasadora któregoś z krajów „okupantów”.

Przysłowiowe żołnierskie szczęście nie opuściło gen. Pietrzyka, ale zabrakło dla ppor. (został pośmiertnie mianowany) Bartosza Orzechowskiego, który pomimo ciężkich ran dla ocalenia ambasadora robił, co mógł. O tym, że cały zamach okazał się (wbrew tragedii, jaką była śmierć funkcjonariusza BOR-u) fiaskiem jego animatorów, świadczy końcowy rezultat, bowiem dobrze zorganizowana i przeprowadzona zasadzka na ulicach aglomeracji miejskiej nie powinna dać żadnych szans temu, przeciwko komu jest wymierzona (podkr. – od red.).

Wybuchy ukrytych bomb miały albo spowodować śmierć znajdujących się w pojazdach osób, lub przynajmniej tak je uszkodzić, by uniemożliwić dalszą jazdę. Widać zamachowcy przygotowali się na ewentualność, że tuż po wybuchach pasażerowie opuszczą pojazdy, bo przez chwilę prowadzili silny ostrzał unieruchomionego konwoju. Może myśleli, że zgodnie z taktyką preferowaną przez Amerykanów w początkowym okresie w Iraku ochrona opuści pojazdy i podejmie walkę?



Stosowanie wielu wariantów trasy i różnych godzin przejazdu – rozwiązanie dobre w warunkach pokojowych – w Bagdadzie nie miało większego znaczenia, skoro wiadome było, że i tak kolumna musi w końcu znaleźć się na jedynej drodze prowadzącej do budynku ambasady.

Metoda zamachu na ambasadora, jakkolwiek skuteczna, nie okazała się (niestety, nie dla jego kierowcy) efektywna. Gdyby do ataku zastosowano np. pojazd wypełniony odpowiednią ilością materiału wybuchowego, kierowany przez samobójcę, to z pewnością nikt by nie przeżył. Jednak, albo przeprowadzająca go grupa (dopiero 14 października do zamachu przyznały się dwie nieznane do tej pory organizacje, Brygada Imama Husajna i Brygada Imama Musy al-Kadimiego, dwa zbrojne ugrupowania szyickie) nie dysponowała odpowiednim człowiekiem, albo obawiano się, że czekający w zaparkowanym samochodzie zamachowiec, w miejscach patrolowanych przez policję iracką może wzbudzić podejrzenia i przedwcześnie zdekonspirować cały zamiar.

Wcale nie jest też pewne, że gdyby ambasador od samego dnia przyjazdu mieszkał na terenie ambasady, do zamachu by nie doszło. Można tylko spekulować, że prawdopodobnie byłoby tak właśnie, choć co do tego wcale nie można mieć całkowitej pewności. Przecież „przydrożna” bomba mogłaby na niego czekać przez dowolnie długi czas, tym bardziej że zaatakowano go na jedynej drodze prowadzącej do ambasady.

Pewne światło na zamach rzucają, wybuch 4 ładunków przed polską ambasadą (jeden dość duży znajdował się w zaparkowanym samochodzie), jakie miały miejsce 8 października, jak też

późniejszy (14 października) atak na polski patrol wojskowy przy pomocy ukrytych przy drodze min. Tego już nie można uznać za przypadek, jest to dowód, że komuś zależy na zmuszeniu Polaków do opuszczenia Iraku i choć wcale nie musi, ale chyba jednak wiąże się z okresem kampanii wyborczej, w której niektóre ugrupowania polityczne głośno mówią o konieczności natychmiastowego zakończenia naszej misji. Jednak najgorsze jest to, że niezależnie od wyniku wyborów i dalszych politycznych decyzji w tej kwestii, terroryści z pewnością je propagandowo wykorzystają w dogodnym dla siebie momencie, nadając przekaz – patrzcie, oto Polacy wycofują się pod groźbą i za sprawą naszych zamachów. Dlatego być może dwa wspomniane, praktycznie dotąd nieznane ugrupowania, widząc w tym doskonałą okazję do autopromocji, przyznały się do zamachów, a wykonujący zadania w Iraku Polacy wydobyli je z niebytu i stali się dogodnym pretekstem do legitymizacji ich żądań i dalszego istnienia.

Fot. Internet

